

Dorota CHABRAJSKA

LOSY KSIĄŻKI

Wraz z nadejściem ery cyfryzacji pojawiły się obawy co do losów książki – obawy bądź wprost konstatacje wieszczące schyłek tego medium czy też zapowiadające zmianę jego miejsca w kulturze. Wydawało się, że komputeryzacja kolejnych sektorów życia, obejmująca również sferę mediów będących nośnikami kultury, sprawi, że książki, jakie znamy – drukowane na lepszym czy gorszym papierze, z tekturową bądź miękką okładką, często wydane starannie, czasami jednak dość niedbale (nierzadko obejmujące wówczas erratę), a niekiedy nawet źle zszyte i wywołujące irytację czytelnika, nieuchronnie odejdą do lamusa, czytać zaś będziemy przede wszystkim treści dostępne na ekranie naszego „urządzenia”. Dostępne zaś – jak domniemywano – miało stać się wszystko to, co wcześniej przekazywał nam papier. Zawilości dotyczące praw autorskich oraz fakt, że efekt końcowy w postaci wydrukowanego woluminu to praca nie tylko autora, ale również całego zespołu ludzi: tłumaczy, redaktorów, korektorów czy składaczy, w dyskusjach odchodziły na plan dalszy. Niezwykłą popularnością zaczęło się cieszyć efektowne stwierdzenie Marshalla MacLuhana: „The medium is the message”¹ (czyli: „Środek przekazu sam jest przekazem”²), wskazujące, że zmiana nośnika, na którym zapisane zostały określone treści, to nie tylko zmiana sposobu ich odczytywania, ale zmiana ich istoty. W tymże duchu zapowiadano, że transformacji ulegnie sposób, w jaki czytamy, że czytać będziemy już nie dla przyjemności czy z wewnętrznej potrzeby, ale po prostu w poszukiwaniu informacji – informacji dotąd trudno dostępnej, do której zwykle docieraliśmy niejako w sposób okrężny, podejmując nużącą, czasochłonną i w dużym stopniu zbędną lekturę.

Czas pokazał, że spekulacje z przełomu wieków były znacznej mierze nieuzasadnione. Książki w postaci drukowanej przetrwały, a zapotrzebowanie społeczne na nie nadal się utrzymuje. Chociaż czasami statystyki ukazujące poziom czytelnictwa (tak w naszym kraju, jak i za granicą) mogą wydawać się przygnębiające, to warto pamiętać, że prawda statystyczna ma swoją specyfikę i życia nie odzwierciedla³. Książka elektroniczna zaś zadomowiła się obok książki tradycyjnej i oba „nośniki”: papier i ekran, okazują się

¹ M. M c L u h a n, *Understanding Media: The Extensions of Man*, The MIT Press, Cambridge, Massachusetts, 1994, s. 7.

² T e n ę z e, *Zrozumieć media. Przedłużenia człowieka*, tłum. N. Szczucka, Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, Warszawa 2004, s. 37.

³ Ta sama prawda statystyczna niejednego zapewne zaskoczy informacją, jakoby wypił w roku 2017 ponad trzy litry wysokoprocentowych napojów alkoholowych, ponad sześć litrów wina i miodów pitnych oraz prawie dziewięćdziesiąt dziewięć litrów piwa, a wypalił 1345 papierosów (zob. Polska Agencja Prasowa, *GUS. Polacy piją coraz więcej. Spożycie mocnego alkoholu w Polsce*

równie potrzebne. W naszych polskich warunkach e-booki przyjęły z radością również miłośnicy książek tradycyjnych, ludzie, którzy po prostu lubią książki kupować, czytać, cieszyć się z ich posiadania i przynajmniej co jakiś czas zaglądać także do tych już przeczytanych. Co ciekawe, osoby te rzadko używają w odniesieniu do siebie określeń takich, jak „wielbiciel” czy „miłośnik” książek bądź też „bibliofil”, a niekiedy w obawie przed krytyką rodziny („I jeszcze jedna książka! No i gdzie to postawić?!”) ukrywają przed bliskimi nowe nabytki i – na przekór mniemaniu, że małe powierzchnie i kolekcjonowanie książek wykluczają się nawzajem – gromadzą również książki nieprzeczytane, z których każda, będąc zarazem obietnicą i tajemnicą, stanowi dla nich źródło radości. Zdarza się, że w ich mieszkaniach – z braku miejsca – Hegłowska *Fenomenologia ducha* sąsiaduje z zachowanymi z dzieciństwa *Niewiarygodnymi przygodami Marka Piegusa* czy z książką kucharską. Czasami przychodzi im na myśl, że może dobrze byłoby dysponować większą powierzchnią, żeby te woluminy ustawić tematycznie, nie zaś kierując się ekonomią przestrzeni (czyli według wielkości tomów), ale ostatecznie dochodzą do wniosku, że najważniejsze to wiedzieć, gdzie co znaleźć na półkach. Można powiedzieć, że w przypadku tych właśnie ludzi e-booki stworzyły nową przestrzeń dla czytelnictwa – przestrzeń, której inaczej po prostu by nie było.

Dlaczego jednak – przynajmniej dotychczas – prognozy MacLuhana się nie spełniły? Skąd bierze się w ludziach potrzeba książki wykraczająca poza potrzebę zdobycia informacji, skąd wyrasta pragnienie dostępu do opowieści, chłonięcia narracji, dlaczego czytamy książki beletrystyczne i podróżnicze, dlaczego chętnie przeglądamy leksykony, poradniki i wydawnictwa encyklopedyczne, które można „wziąć do ręki”, dlaczego książkę naukową „lepiej się czyta” na papierze niż na ekranie?

Można zaryzykować stwierdzenie, że losy książki są w jakiejś mierze sprzężone z losami kultury europejskiej i że książka „wrosła” w tę kulturę do tego stopnia, że zaczęła stanowić o jej istocie. Kultura Zachodu jest kulturą książki i fakt ten pozostaje niezależny nawet od tego, że religia naszego kontynentu – chrześcijaństwo – jest religią Księgi. Oba te fenomeny niewątpliwie łączy przekonanie o swoistej mocy słowa i o tym, że w słowie zapisanym kryje się potencjalność wyzwania ludzkiej sprawczości, wykazujemy bowiem skłonność, by wiązać z nim wartość prawdy, a zarazem dobra. Ową siłę słowa zapisanego dostrzegano już w średniowieczu i budziła ona niepokój ze względu na autonomię, którą słowo zyskuje właśnie na mocy faktu jego zapisania, gdy jego przekaz oraz interpretacja przestają podlegać kontroli. W dziejach kultury europejskiej książka stała się zatem swoistą koleiną dla myśli nieokiełznanej, a zarazem czynnikiem wywierającym decydujący – niekiedy pozytywny, a niekiedy negatywny – wpływ na bieg tej kultury. Można by w tym miejscu przywołać z jednej strony chociażby *Państwo Boże* św. Augustyna, *De revolutionibus...* Kopernika czy *Principia...* Newtona, z drugiej zaś *Manifest komunistyczny* Marksa i Engelsa bądź też *Mein Kampf* Hitlera.

W niejednym wypadku moc słowa zapisanego okazała się miazdząca dla jego autora. W średniowieczu bywało, że teksty, które uznano za heretyckie, skazywano na „spalenie wraz z autorem”, niejako podkreślając, przez taki właśnie werdykt, podrzędną rolę autora wobec zapisanego przezeń słowa – jeśli nawet słowo to chciano potępić. Spalenia wraz ze swoim tekstem udało się jednak uniknąć na przykład Janowi Falkenbergowi, autorowi paszkwilu powstałego na krzyżackie zamówienie, a wymierzonego przeciwko

Polakom. Tekst ten skazano jedynie na podarcie i podeptanie, autora zaś na więzienie⁴. Mimo wszystko nawet ów „łagodny” werdykt potwierdzał przekonanie, że zapisane słowo w pewnym sensie „odrywa” się od osoby swojego autora i nabiera własnej mocy. Przekonanie o autonomii słowa zapisanego w książce skutkowało w historii tworzeniem różnego rodzaju list ksiąg zakazanych i dotrwało do czasów nam współczesnych, znajdując swój wyraz w instytucji cenzury, bez której nie potrafią się obejść reżimy totalitarne. Janusz Głowacki opisuje swoją rozmowę z oficerem MSW, podczas której otrzymał pouczenie: „Inteligentny człowiek nie pisze. Inteligentny człowiek nie pozostawia za sobą żadnego śladu”⁵.

Komunistyczna czy też socjalistyczna rzeczywistość w sposób niezamierzony przez jej twórców przyczyniła się jednak do niezwyklej promocji książki w naszym kraju. W oficjalnym obiegu wydawano wybrane dzieła literatury i humanistyki światowej, a ponieważ miały one bardzo niskie nakłady, trudno było je zdobyć. Niektóre książki ukazywały się pomimo cenzury, a inne poza nią, w drugim obiegu. Książka stała się symbolem życia niezależnego, życia poza regulacjami, życia prawdziwie własnego.

O ile rewolucja technologiczna ostatnich lat nie zachwiała tą szczególną pozycją książki, o tyle jednak – jak się wydaje – systematycznie podważa ją nowa filozofia edukacji, która w szczególny sposób zaczęła się rozwijać i oddziaływać w naszym kraju. Hasła głoszące odejście od przekazywania wiedzy (często określanej przymiotnikiem „encyklopedyczna”) na rzecz kształcenia umiejętności (określanych jako praktyczne), edukacja poprzez oddziaływanie na emocje, nie zaś przez rozwój intelektu, systematyczne zastępowanie – w procesie kształcenia – słowa przez obraz, a tekstu ciągłego przez dialog i test⁶ nie budzą w uczniach zaciekawienia książką. Promując e-learning, swego czasu z satysfakcją głoszone odejście od kształcenia podręcznikowego. Taka też postawa znalazła się u korzenia sporu o listę lektur obowiązkowych, który przetoczył się przez media: myśl, że uczniowie mogliby czytać Gombrowicza (czy też innego autora), nawet jeśli jego dzieła nie znalazłyby się na tej liście, nigdy się w tym sporze nie ujawniła.

Wydaje się, że filozofia edukacji wręcz odstraszałającej od książek wpisuje się w Polsce w trend kultury popularnej, opartej na założeniu, że w świecie współczesnym ludzką uwagę można przyciągnąć jedynie na moment. W tym świecie książka jest co najwyżej towarem, więc ważne jest przede wszystkim to, żeby jej produkcja była tania. Żenująco niskie stawki, za jakie pracują tłumacze i redaktorzy, którymi często stają się zatem osoby przypadkowe, sprawiają, że coraz częściej mamy do czynienia z beznadziejnie słabymi przekładami i z książkami, w których można znaleźć błędy. Nie ma też zapotrzebowania na recenzje krytyczne, demaskujące te uchybienia, a w konsekwencji przyczyniające się do wzrostu szacunku dla książki. Erozja tego szacunku w jakimś stopniu ujawnia

⁴ Por. ks. S. Więgluś, *Paweł Włodkowic z Brudzenia – średniowieczny uczony, mąż stanu, główny przedstawiciel polskiej szkoły praw człowieka i narodu*, „Ethos” 12(1999) nr 1-2(45-46), s. 88.

⁵ J. Głowacki, *Zamiast wstępu*, w: tenże, *Jak być kochanym*, Świat Książki, Warszawa 2005, s. 5.

⁶ Prawdliwość tę doskonale oddaje ewolucja podręczników do nauki języków obcych, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu zawierały przede wszystkim teksty, a w czasach obecnych zostały ich właściwie pozbawione. Wydaje się, że metodykami nauki języków obcych kieruje przekonanie, że umiejętność rozumienia tekstu i rozmowy na jego temat, w tym wyrażania własnej opinii, ma znacznie mniejszą wartość niż umiejętności praktyczne w rodzaju zamówienia pizzy w restauracji.

się nawet w akademickim środowisku humanistów – nierzadko usłyszeć można, że nie kupują oni najnowszych prac naukowych, ponieważ ograniczono „środki na działalność statutową”. Czy są to zatem prawdziwi humaniści?

Tymczasem jednak na świecie ludzie czytają książki. Żeby się o tym przekonać, wystarczy przejechać się londyńskim metrem, przejść się plażą w dowolnie wybranym wakacyjnym miejscu albo zwiedzić chociaż kilka księgarni w jakimś większym mieście bądź też zajrzeć do kilku bibliotek – mówi się, że są one dziś jedynymi miejscami, gdzie nie oczekuje się od nas, że wydamy pieniądze. Swoistymi oazami książki oraz wydawnictw książkowych stały się w dzisiejszych czasach sklepy funkcjonujące przy muzeach i galeriach sztuki. Jak gdyby przyjęto w nich milczące założenie, że ci, którzy lubią oglądać obrazy i dzieła sztuki, nie gardzą słowem – przeciwnie, że słowo i piękno idą ze sobą w parze. Dostępne w tych miejscach wydawnictwa książkowe przywołują na myśl twierdzenie MacLuhana o wpływie nośnika na przekazywane przezeń treści, ale sytuują je w innym kontekście: estetyka tych wydawnictw i staranność, z jaką je przygotowano, jakość papieru, na którym powstają, czy emanujące z nich kolory w istocie stanowią element treści ich przekazu – i jest to element decydujący o tym, że trudno się pokusie nabycia tych książek oprzeć. A wraz z nimi kupujemy leżące obok zakładki z motywami artystycznymi. Obecność tych zakładek to również wyraz przekonania, że ludzie potrzebują książek nie tylko po to, aby ustawić je na półkach i że nawet mimo przerwy w lekturze nie musimy rozstawać się z rzeczywistością, którą dobrze jest mieć wokół siebie.